

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Do młodzieży.

Czas w rączym błęgu upływa,
Wszystko wraz z sobą porywa,
I lubej młodości chwile,
Jego się nie oprą sile.
Jak róża, gdy się rozwinie
Wkrótce więdnieje i ginie;
Tak z wdzięków do niej podobna,
Przemija młodość nadobna.

Korzystaj więc, luba młodzi
Z czasu, co rychło uchodzi
Dni wieku, twojego złote
Zbogać w naukę i cnotę.
Co zdołasz zasiać szczęśliwie
Na serca, rozumu niwie,
Póki się wiosna nie zmieni,
To w późnej zbierzesz jesieni.

Gdy styrasz młodość swą marnie,
Zal cię niewczesny ogarnie,
Przykry smutek przyjdzie z laty,
Lecz już nie nagrodzisz straty.
Korzystaj więc, luba młodzi,
Z czasu, co rychło uchodzi;
Dni wieku twoje złote
Zbogać w naukę i cnotę.

Dzieje Narodu Polskiego

OKRES V.

(Ciąg dalszy.)

Obrona Częstochowy.

Szwadzi, posiadając całą prawie Polskę, pragnęli zająć także Częstochowę, aby zrabować nagromadzone tamże skarby. W Częstochowie znajdował się od r. 1382 cudowny obraz N. Maryi Panny, który podług pobożnego podania ś. Łukasz Ewangelista wymalował. Sławną była Częstochowa na całą Polskę już w owe czasy. Przyszło tedy 9000 Szwedów pod Częstochowę, gdy w klasztorze ledwie 400 ludzi zdolnych było do obrony. Siłą była nadzieja obrony świętego miejsca. Był atoli w klasztorze mąż pobożny, pełen silnej woli i poświęcenia dla ojczyzny. Tym mężem był X. Augustyn Kordecki, przeor klasztoru. Odrzucił on wszelkie układy poddania klasztoru, a dnem i nocą zagrzewał garstką żołnierzy do obrony. Kiedy Szwedzi darli się po drabinach na mury, wtedy X. Kordecki z krzyżem w ręku zachęcał do męstwa polskiego żołnierza. X. Kordecki z natchnieniem obliczem, wskazując na chorągiew z obrazem Bogarodzicy, do obrony wzywał. I Bóg pobłogosławił cnym usiłowaniom szlachetnego kapłana, tak iż Szwedzi z hańbą od oblężenia odstąpili, wiele wojska utraciwszy. N. M. Panna cudownie klasztor swój ocaliła, gdyż widziano ją jak płaszczem świątynię zasłaniała, a kule, ogniaste na klasztor rzucone, albo bez obrazy przelatowały lub od murów się odbijały. Dzielna ta obrona obudziła cały naród z uspienia. Rzucili się wszyscy na Szwedów, a choć zaciętą była walka, gdyż połączyli się z

niem Niemcy, Brandenburgii i Siedmiogrodzianie, jednakże w końcu Szwedów z Polski wygnano.

To pamiętne oblężenie Częstochowy opisał X. Kordecki w książce pod napisem „Gigantomachia“, gdzie n. p. czytamy następujący ustęp, który i dziś można zastosować:

„Ale co przedewszystkiem zważyć i mieć w sercu należy, to, że sprawa Kościoła i Polski, sprawa naszej kochanej Ojczyzny, polega teraz na nas, na nas samych tylko. Jeżeli Bóg zamierzył zbawić Polskę, o czem wątpić byłoby niegodnie, z tej tu opoki Jasnogórskiej wytrysnie strumień polskiego życia; bo na całej ziemi rzeczypospolitej najechanej i spłądrowanej, nie masz nieskażonego i wolnego miejsca, prócz tej skały, gdzie Przenajświętsza Dziewica tron sobie postawiła i gdzie przeto będzie stolica chwały. Ta sama moc, która leczy niewidome cierpienia jednego człowieka, wyleje się ztąd jak ze źródła życia i zdrowia na cały naród, odświeży, pokrzepi prowincye i miasta, widome członki rzeczypospolitej, aby się okazało i zaprawdę powiadać wam, iż się okaże, że Polska nie czem innem powstanie, tylko miłosierdziem królowej, która tu mieszka między nami.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dziecię i staruszek.

Niosło raz dziecię wody dzbanuszek,
Spotkał je w drodze siwy staruszek,
I rzekł do niego z uprzejmą minką:
„Pozwól się napić dziecinko!“ —
Dziecina chętnie schyliła dzbanuszkę
I napoiła wodą staruszkę.

Raz koło sadu szła ta dziecina,
Patrzy... z owocem drzewo się zgina,
Jakżeby rada zjeść kilka gruszek!
Aż tu wychodzi siwy staruszek...
Ową dziecinę dobrą poznaje
I najpiękniejszych gruszek daje.

Kwarta maku, kwarta pieprzu.

Słyszeliście już pewnie, Kochane Działki, o wielkim królu polskim, Janie Sobieskim, który to z dzielnym wojskiem polskim poszedł pod Wiedeń bić Turków. Kuso było wtenczas z Niemcami, bo ogromne hordy tureckie zalały ich kraj aż pod samą stolicę, tak że zupełna zagłada groziła ludowi niemieckiemu.

Chwalili się Niemcy zawsze, że są narodem bitnym i że nikogo na świecie się nie boją, skoro jednak Turcy zaczęli ich kropić, a kraj pustoszyć, to takiego dostali strachu, że aż Ojca św. w Rzymie prosili, aby się za nich wstawił u Polaków i pomoc wyjednał. To też Ojciec św. wysłał do króla naszego, Jana Sobieskiego, posła swego, a razem z posłem papieskim podał też posła cesarza niemieckiego i obaj pokłonili się nisko naszemu królowi, posła z Rzymu zawołał: „Królu, ratuj chrześcijaństwo“, posła zaś niemiecki padł na kolana przed siedzącym na tronie królem polskim i prosił, załamując ręce: Królu, ratuj Niemcy!

I uiliował się Jan Sobieski, poszedł z rycarzami pod Wiedeń, zbił Turków na kwaśne jabłko i wypędził ich z granic państwa niemieckiego. Jak się za to Polakom Niemcy odplacili, wszyscy — wielcy i mali — dobrze wiemy.

Otóż opowiadają, że gdy Sobieski z swoim wojskiem stał pod Wiedniem — a miał razem z wojskiem niemieckim około 37,000 ludzi na 700,000 stojących po stronie Kara Mustafy, wtedy wielki wezyr turecki, drwiąc sobie z króla polskiego, posłał mu przez jednego Turka kwartę maku i kazał powiedzieć:

— Waszmość królu Janie III, racz przyjąć i policzyć ziarnka maku, i jak je zrachujesz, przekonasz się i dowiesz, ile nasz pan ma żołnierzy na pokonanie ciebie.

Ale Sobieski uśmiechnął się na to; kwartę maku przyjął, a w zamian posłał do Kary Mustafy kwartę pieprzu i kazał tak powiedzieć:

— Wielki Wezyrze! Przeliczyć kwartę maku, toby była wielka robota i dużo czasu by zeszło, a korzyści byłoby mało. Ja ci posyłam kwartę pieprzu i proszę, abyś go nie liczył, tylko zjadł, co nie będzie trudne i wiele czasu ci nie zabierze, a gdy zjesz kwartę pieprzu, wtedy poznasz, jak moje wojsko dzielne.

Po skończonej bitwie pod Wiedniem Sobieski nie ziarnka maku, ale plony zwycięstwa mógł obliczać. Z płaczem i wstydem uciekający Kara

Mustafa — chociaż kwarty pieprzu nie zjadł, — poznał dobrze, co to znaczy bić się z wojskiem polskiem pod dowództwem „króla Sobka“.

Tydzień zucha i leniucha.

W poniedziałek
Bartosł śpi i próżnuje, Staś zrobi kawalek.
W wtorek
I Bartka do roboty zmusi pusty worek.
W środę
Stach nieźle już zarobił, Bartek ma chleb - wodę.
W czwartek
Stach zuch śmieje się, ciesz się — płacze leniuch
Bartek.
W piątek
Stach zbliża się do końca, u Bartka początek.
W sobotę
Bartek męczy się, nie śpi — Stach skończył robotę.
W niedzielę
Bartek zły, niewyspany, roboty ma wiele,
Stach wesół odpoczywa, modli się w kościele.

Okropny wypadek.

Jadzia jest troszkę łakoma. Jak zobaczy, że mama smaży owoce, to już przez cały dzień ślinka jej do ust idzie, póki ich nie pokosztuje. Mama zwykle daje córeczce troszkę owoców do pokosztowania, ale każe na to cierpliwie czekać, a Jadzia czekać nie lubi.

Raz wbiegła do pokoju, gdzie stały na stoliku świeżo usmażone truskawki, a tak ślicznie pachniały, że Jadzia nie mogła się oprzeć pokusie, przysunęła krzesło do stolika, uklekła na niem i zanurzyła paluszek w słodziutki syrop.

Lecz cóż się stało? Jadzia nasza zamiast nieść słodki paluszek do buzi, wydaje krzyk przeraźliwy, zeskakuje z krzesła, które się przewraca z hałasem, a paluszką, umoczoną w syropie, wymachuje w powietrzu jak szalona. Okropny wypadek spotkał łakomą dziewczynkę. Oto osa, równie łakoma, jak ona, chciała także pokosztować smacznych owoców, a wszedłszy do słoika, nie mogła się już z niego wydobyć, bo zagrzezła w gęstym syropie. Jadzia właśnie w to samo

miejsce włożyła paluszek, osa pewnie myślała, że ona ją chce udusić, albo utopić do reszty w syropie, więc ze złości ukuła ją okropnie w ten paluszek.

Biedna Jadzia długo cierpiała ból dotkliwy, nim się paluszek zagoił, ale przynajmniej odczuła się łakomstwa. Ile razy ją kociło dotknąć jakich łokci bez pozwolenia, zaraz sobie przypominała okropny wypadek z osą i cofała rączkę z mimowolną obawą.

Złota tabakierka.

Pewien pułkownik, mając kilku oficerów na obiedzie, pokazał im nową i piękną tabakierkę. Po chwili chciał zażyć tabaki. Szuka po kieszeniach i mówi markotny: „A gdzie moja tabakierka? Zobaczcie panowie, czy jej który przypadkiem nie schował.“

Zaraz wszyscy powstali i kieszenie wytrzęśli, ale tabakierki nie było. Jeden tylko chorąży, widocznie pomieszany, nie ruszył się z miejsca i rzekł: „Ja nie przetrzęsę kieszeni; dosyć gdy dam słowo honoru, że tabakierki nie wziąłem!“ Oficerowie rozeszli się oburzeni, bo każdy o kradzież go posądzał.

Nazajutrz pułkownik każe wołać chorążego i mówi: Znalazłem tabakierkę! Była za podszewką munduru, dokąd się z rozprutej dostała kieszeni. Powiedz mi jednak, czemuś ty twojej nie chciał pokazać kieszeni, gdy inni oficerowie chętnie to czynili?“

Chorąży odpowiedział: „Wam tylko, panie pułkowniku, wyznam prawdę otwarcie. Mam ubogich rodziców. Daję im przeto połowę mego żołdu, a sam nic ciepłego na obiad nie jadam. Wczoraj, gdy mnie zaproszono do pana, miałem właśnie mój obiad w kieszeni. Mógłbym tę kieszeń pokazać? Ach, ileżbym był użył wstydu, gdyby przy wytrząsaniu wypadła była kielbasa i kawał czarnego chleba!“

Pułkownik rzekł rozczulony: „Dobrym ty jesteś synem!“ Zebyś mógł łatwiej wspierać rodziców, będziesz co dzień jadał u mego stołu.“

Potem wyprawił pułkownik sutą ucztę dla wszystkich oficerów, na której uniewinnił zupełnie chorążego i na dowód swego szacunku darował mu złotą tabakierkę.

Kto czci rodziców, kocha z całej siły,
Bogu i ludziom ten zawsze jest miły.

Bogobojna siostra.

Zdarzyło się, że Wicus i mała Andzia zostali sami w domu. Korzystając z tego Wicus, rzekł do siostry:

— Chodź, wyszukamy sobie w domu co dobrego do jedzenia i dobrze się uraczymy.

— Chętnie; jeżeli mnie zaprowadzisz w takie miejsce, gdzieby nas nikt nie widział, to pójdę z tobą.

— Chodźmy więc do mleczarni, to sobie tam zjemy miszkę doskonałej śmietany.

— O! nie, sąsiad, który drzewo rąbie na ulicy, mógłby nas z łatwością widzieć.

— Prawda — odpowiedział Wicus — ale pójdz ze mną do kuchni; wiem, że w spiżarni jest garnek pełen miodu: umaczamy sobie w nim chleb.

— Tam także — mówiła dziewczynka — będziemy pod okiem sąsiadki, która naprzeciwnie siedzi w oknie i przędzie.

— I to prawda, chodźmy więc do piwnicy, gdzie są wyborne jabłka: tak tam jest ciemno, że z pewnością nikt nas nie zobaczy.

Wtedy Andzia rzekła:

O, mój drogi braciszku! czy ty naprawdę myślisz, że nas w piwnicy nikt nie zobaczy? Nie wiesz więc, że nad nami zawsze czuwa oko, które w największej ciemności, przez mury ciągle na nas patrzy?

Na te słowa, Wicus uczuł głęboką trwogę i zawołał:

— O, masz słuszość! kochana Andziu: oko Boże widzi nas nawet tam, gdzie przed wzrokiem ludzkim zupełnie jesteśmy ukryci; wystrzegajmy się więc złego w każdym miejscu!

Andzia ucieszyła się bardzo, że Wicus bez najmniejszego wahania zgadza się na jej słowa, i dała mu za to piękny obrazek, który miała w książce od nabożeństwa. Przedstawiał on otoczone promieniami oko Boże z następującym podpisem:

„Na każdym miejscu i każdą dobą,
Boska żrenica czuwa nad tobą.

Biedny student.

Było to w nocy 14 grudnia. Wiatr był przeraźliwie, a śnieg białym swym płaszczem okrył góry i doliny — smutna noc! Każdy, stary siedział w ciepłym zakątku, dziękował Panu Bogu, że nie był zmuszony odbywać teraz podróży.

Biedny młodzieniec z wielkim trudem to-

rował sobie drogę przez zaspy śniegu. Ze był ubogim, nie ulegało wątpliwości; nie miał bowiem obuwia, a na ramionach, okrytych niedostateczną odzieżą, niósł mały tobolek, zawierający cały jego majątek: kilka książek. Był to ubogi student; biegł on dziś bez wytchnienia, w nadziei, że przed nadejściem nocy zajdzie jeszcze do miasta, ale pokazało się, że przecenił swe siły, i upadł pod brzemieniem znużenia, zimna i bólu. Jeszcze ostatnie zrobił wysilenie. Błagalne spojrzenie rzucił ku niebu — krew się w nim ścięła, nogi już go dalej unieść nie zdołały, potoczył się i upadł...

Nikt z ludzi nie widział go, nie słyszał jęku jego bolesnego, sam tylko Bóg, bez którego wiedzy i woli włos człowiekowi nie spadnie z głowy, sam tylko Bóg widział jego niedolę.

Śnieg padał dalej a za chwil kilka biedny młodzieniec zagrzebany był w śniegu.

* * *

Tej samej nocy przybył na plebania, posłaniec z najbliższej wsi i wezwał księdza do chorego. Nagle ktoś zachorował, a że groziło niebezpieczeństwo, więc nie czekano do dnia, ale w nocy posłano do księdza. Okropna to była noc, ale pleban ks. O'Neill, ani myślał o tem, jakie na dworze powietrze; dusza była w niebezpieczeństwie i potrzebowała pociech religijnych, a to mu wystarczało, aby natychmiast się wybrać. Bezwzględnie wstał, ubrał się i już był zebrany do pieszej wędrówki, bo nie miał konia, ani wózka. Ks. O'Neill był człowiekiem rezolutnym, wysokiego wzrostu i silnie zbudowany, przytem nie był jeszcze starym, bo dopiero liczył lat trzydzieści. Prędzejby śnieg i grad obalił posąg kamienny, jak tę postać zachwiał.

Nagle przystanął, nogą o coś potracił, więc rozgląda się dokoła, ale w ciemności nie widzieć nie może. Już chce iść dalej, gdy lekkie jęczenie dochodzi jego uszu.

— Wielki Boże! — zawołał — coż to jest? Człowiek zagrzebany w śniegu!

Bez wahania zabiera się do pracy, rękami zgarnia śnieg z nieszczęśliwego, któremu Pan Bóg służy swego przysłał, aby go od śmierci niechybnej uchronić. Bierze go kapłan na swoje ramiona, zanoszą do domu i do własnego kładzie go łóżka, gdzie go szczęśliwie docierał.

Nazajutrz student gwałtowną miał febrę i trzy tygodnie przeleżał w łóżku. Jakże w duszy błogosławił tego zacnego kapłana, który go od śmierci wybawił, a teraz w chorobie tak starannie pielęgnował, i nawet noce przy nim spędzał bezsenne!

(Dokończenie nastąpi.)